

Nagły dźwięk dzwonu przeszył jej umysł. Jego wibracje rozeszły się po ciele, wprawiając każdy mięsień i ścięgno w stan trwożnego napięcia. Śnieg skrzypiał pod ciężkimi buciorami, krok za krokiem. Formowane nimi wgłębienia tworzyły ścieżkę, dobrze widoczną nawet po zmroku. Kozuch pachniał sianem i wilgocią, teraz również słodkim potem. Za zakrętem wiecznie zapłakana wierzba rozcapierzyła łysawe witki, bo przecież nie ma już takich drzew na żadnym z zakrętów, przynajmniej tak jej się wydawało. Wieczny smutek ma w sobie coś heroicznego i poddańczego zarazem.

Podeszła pod sam las, który o tej porze roku jest namiastką cmentarza. Wszystko tu spało, między konarami wiało pustką i melancholią. Pod zbutwiałą korą i na wpół zgniłymi liśćmi wygrzebała niedużą jamę. Ułożyła w nich kosteczki, jedna obok drugiej, ciasno, skrupulatnie. Dziwiła się, że było tak cicho, jakby uroczyście. Wcale nie chciała słyszeć własnego oddechu, przyspieszonego od wysiłku. Spojrzała na swe zabrudzone ręce. Pod paznokciami mokra ziemia potworzyła czarne obwódki.

- *Żona grabarza musi nieustannie szorować dłonie* – pomyślała praktycznie.

Kość o kość się ociera. Nóż ślizga się po ścięgnach, twardych, oblepionych białawą błonką. Resztki zaschniętej krwi wyciera w fartuch, jak przystało na dobrą gospodynię. Zagląda do spiżarni, cuchnącej pleśnią. Nigdy nie miała serca do tego, by utrzymywać tu należyty porządek. To pomieszczenie zawsze kojarzyło jej się z bezgłośnym rozkładem. Odłożyła kosz z pociętymi równo kawałkami mięsa i zamknęła drzwi na skobel.

Nim przyszedł wieczór, wpadła w popłoch. Zupa wrzała na palenisku, po izbie rozchodził się zapach ziół, kapusty, zasmażki i ciepłych oparów domowej strawy. Pies zaczął ujadać zaciekle, a po chwili wewnątrz futryny zalał wielki cień.

Było już południe, gdy usłyszała gdakanie przepłoszonych perliczek. Wiedziała, co to znaczy. Chwyciła miotłę i stanęła za węglem.

- Aua, nie bijcie – wyjęczał chłopak od Frączków, pocierając czerwieniejący kark.

- Znów zachciało ci się darmowych jajek, łobuzie? Niedoczekanie twoje – wrzasnęła Zuzanna, próbując znów się zamachnąć.

- Da pani kilka? Taki jestem głodny – skamlał kilkuletni wyrostek.

- Nie dam? A mnie ktoś daje? – zapytała z drwiną kobieta. – Niech ci matka z ojcem dadzą. Od tego są.

- Przecież wie pani, że nie dadzą, bo sami nie mają. A nawet jakby mieli, to wolą na wódkę stracić – tłumaczył się.

- Co z tego, że wiem? Mam cię karmić?

- Ja tak tylko mówię – dziecko opuściło głowę z rezygnacją, a Zuzannie po raz pierwszy zrobiło się go żal. – Chodź. Dam ci miskę kartofli. Ale nie myśl sobie, że będziesz się u mnie stołował – powiedziała oschle.

Od tamtej pory przychodził prawie codziennie. Machał łyżką szybko, jakby się bał, że zaraz zabiorą mu sprzed nosa talerz. Kobieta spoglądała na płową grzywkę, zasłaniającą mu oczy, gdy pochylał się nad stołem, dziwiąc się, że coś spod niej widzi. Doszła do wniosku, że i tak jest mu wszystko jedno, byleby się najeść, nim dostanie po głowie. Jadł w pośpiechu, gotów podskoczyć do góry na dźwięk otwieranych drzwi, czy skrzypnięcie podłogi.

- *Dostawał w skórę nie raz* – pomyślała Zuzanna, ale to przecież nic nadzwyczajnego na wsi. – *Każdy dźwiga jakiś krzyż. Człowiek nawet nie wie, ile może wytrzymać.*

Samotność rani do szpiku kości. Mijają dni, miesiące i lata, a samotna stagnacja przetrąca kolejne kręgi w kręgosłupie, przygniata do ziemi. Zuzanna szybko przestała być młoda. Nie miała na to czasu. Została sama z małym gospodarstwem, gdy wojna zabrała jej rodziców. Chłopcami nigdy się nie interesowała. Nauczona samodzielności przez ojca, który chciał mieć syna, od dzieciństwa przyuczała się do wszelkich prac – rąbania drewna, koszenia trawy, wstawiania wyłamanych ząbków w grabiach. Cięższe obowiązki, jak oranie i redlenie pola, za niewielką opłatą wykonywał sąsiad. Pomagał wielu we wsi, przecież nie każdego stać było na konia i solidny pług.

Każdy jej dzień wyglądał podobnie, wstawiała skoro świt, rozpaliała pod kuchnią, wstawiała wodę i ziemniaki dla kur, zlewała pomyje dla świń, przerzucała siano dla krów, potem je doila. Izbę sprzątała późnym rankiem, najpierw bardzo starannie, z upływem lat, coraz pośpieszniej, bo po co, w końcu jej dom zaczął przypominać obejście starego kawalera. Gdy nastawiała obiad, była już zmęczona. Nie przyrządzała niczego specjalnego, wystarczyły jej gotowane kartofle z okrasą, byle zjeść coś ciepłego. Resztki wynosiła psu. Popołudniami szła do lasu po suche gałęzie, które taszczyła po śniegu w wielkiej płachcie. Latem najmowała kogoś z wozem, by przywieźć większe chojaki. Popołudnia schodziły na drobnych naprawach sprzętów, wieczory na cerowaniu wysłużonych ubrań i rozdzielaniu słodkiej i kwaśnej śmietany.

Jeszcze niekiedy patrzyła w niebo, słuchała odgłosów z dalekich przestrzeni, wiatru znad pól, dźwięków zapadającej w sen wioski. Wiedziała, że poddała się zbyt szybko. Wsiąkła w tę jątrzącą się bylejąkością okolicę i rutynę zachowań, bez protestu. Chyba nie potrafiła być z ludźmi, tak po prostu, wołała zamknąć się w sobie, na cztery spusty, na amen, bez dostępu powietrza. Zapominała z wolna, jak wydobywać z siebie głos, dobierać słowa, odpowiadać na zwykłe pytania. Umierała każdego dnia, chwiejąc się jak podcięte drzewo, spychając w najciemniejszy kąt wszystkie te trwożne – a gdyby...

Przeczuwała jego nadejście. Dostrzegała znaki dużo wcześniej, nim się zjawił – poukładane w dziwne konstrukcje szczapy drewna, nerwowe gdakanie kur, pod którymi znalazła kukulcze jajo, rozsypa-

ny wokół domu popiół. Oczekiwała go niecierpliwie, choć domyślała się, że kiedy przyjdzie, wszystko się zmieni.

W kościele było tylko kilka osób. Wybrała dzień powszedni i popołudniową porę, żeby nie natknąć się na zwyczajowy korowód cieni – ładnie ubranych, z przyklejoną maską wysublimowanej, czy raczej wystudiowanej, niedzielnej świętości. Gdy włożyła palce do święconej wody, coś jak ukłucie przeszło jej dłoń. Cofnęła ją szybko i oblizwała krople krwi.

Świece ustawione przed ołtarzem rzucały na wnętrze słabe światło. Ten rozmodlony półmrok zdawał się odłączać duszę od ociężałego ciała w rejony, gdzie istniała tylko ludzka wina. Jej wina. Oczy ukrzyżowanego Chrystusa przewierały ją na wylot, jakby nie istniała żadna bariera, żadna ściana, mur, okowa, poza którymi mogłaby się schować. Bo nie istniała. A jej dusza była brudna, zaniedbana i godna politowania. Ale nie było w niej skruchy. Był za to żywy gniew.

Był wynędzniały i nosił łachmany. Zwykły chłop ze wsi – ze skrzywioną od mrozu twarzą, z niedopalkiem w ustach, w człapiących gumofilcach.

- Co jest na obiad? – zapytał po prostu, jak gdyby był tu od zawsze. Może rzeczywiście tak było?

- Jak zwykle, kartofle ze skwarkami – odpowiedziała tonem, który zbyt wyraźnie przypominał tłumaczenie się.

- Musisz się bardziej starać, opraw mięso – rozkazał, rzucając pod jej nogi jakieś niezidentyfikowane ochłapy. – Przyjdę za kilka dni. Bądź gotowa. To dopiero początek. Przyuczę cię – obiecał na odchodne z szyderczym grymasem ust.

Leżała na podłodze nie mogąc się ruszyć. Skrobiny z ziemniaków rozsypały się po całej powierzchni, otaczając jej postać symboliczną aureolą. Słyszała jedynie powolne tykanie zegara i bzyczenie wszechobecnych much. Gdzieś za oknem nadal trwało życie, zwyczajne i bezsensowne, jak co dzień. Nie miała już sił, by walczyć. Nie chciała już walczyć. Chciała poddać się temu, zrobić coś naprawdę, nim ujdzie z niej cała wiara, pokruszona, okaleczona niemocą.

Obudziła się złana potem. Czuwała do świtu. Wiedziała już, że musi nakarmić przybysza.

Romek pomógł jej poukładać szczapy drewna pod szopą, napoić krowy, przegrabić siano. Łaził za

nią jak żrebak za kobyłą przez godzinę, czasem dwie, a potem znikał. Policzki mu się zaokrągliły, skóra nabrała zdrowego wyglądu, zyskał krzepę. Ale płochliwy był tak samo jak wcześniej. Nieraz widziała czerwone pręgi na jego szyi, nadgarstkach, podbite oko czy rozciętą wargę.

- Ojciec cię sprął? – zapytała, gdy syknął głośno, próbując ostrożnie włożyć łyżkę w pokrwawione usta.

Spojrzał na nią z ukosa, zaczerwienił się i kiwnął głową. Wbił wzrok w talerz.

- Ten twój stary to nicpoń i leń. I jeszcze na dziecku się wyżywa. A matka nie broni cię przed nim?

- Matka? – wymówił Romek niepewnie. – Czy mnie broni przed ojcem? – przegryzał te myśli razem ze skwarkami, jakby jadł je pierwszy raz w życiu. – Nie, nie broni. Sama też potrafi przyłożyć, jak nie ma już co pić. Albo śpi. Albo... - zawahał się, czy warto wspominać co robi matka z sąsiadami, by zarobić pieniądze, więc nic nie powiedział.

- Nie masz lekko, mój mały – skwitowała, zamyślając się, skąd się jej wzięło to „mój mały”.

Romek zeszytniał cały, napiął się jak struna, a po chwili jego plecy poczęły lekko drżeć.

Następnego dnia już nie przyszedł, choć wyjątkowo nagotowała cały gar bigosu. Zuzanna miała jak najgorsze przeczucia. W nocy prawie nie spała. Gdy tylko zmrużyła oczy, śniły jej się koszmary – krople krwi, skrzypiące przeraźliwie deski podłogi, pokrytej strzępkami skóry. Patrzyła na siebie samą, jakby z góry, spod powały, jak leży na tej podłodze i nie może się ruszyć.

Pokazał jej, gdzie zakopać ich kości. Był większy, bardziej okazały niż zapamiętała. Zresztą nigdy nie przyglądała mu się uważnie, nie śmiała. Ułożyła gnaty starannie, na starej płachcie, tak, by przypominały krzyż, choć Frączkom było już wszystko jedno. Potem splunęła na nie z odrazą. Nie każdą świętość trzeba traktować dosłownie. Teraz to wiedziała. Wbiła szpadel w ziemię i przykryła wszystko grubą warstwą piachu, kępki trawy zostawiając na koniec. Tylko z bliska widać było różnicę.

- *Za kilka dni trawa się rozrośnie* – pomyślała i uśmiechnęła się pod nosem.

Gdy skończyła, jego już nie było. Ostry zapach spalenizny rozwiął się po kilku minutach. Jedyne dłonie ciągle miała brudne, ale z tym pogodziła się już wcześniej.

Zaniosła kwiaty na grób chłopca. Te same, które rosły nad rzeką. Lubił tam chodzić, puszczać łódki z kory, ganiać kaczki, marzyć o lepszym losie. Na prostym nagrobku wryto kilka liter. Zuzanna patrzyła na nie z mieszaniną gniewu i rezygnacji. Zaczął padać deszcz.

- Próżny żal – wyszeptała ni to do siebie, ni to do zachmurzonego nieba. Jej słowa rozsypały się, jak ziarno oddzielone od plew.

Wieczorem wyszorowała dokładnie podłogę. W miednicy wypełnionej mętniejącą wodą odbiło się czyjeś

oblicze.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Urbi, dodano 20.04.2017 09:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.